

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



POGADANKI O SZTUKACH PIĘKNYCH.

RZEŻBA U EGIPCYAN.

Opowiadając wam, młodzi czytelnicy, o sztuce u starożytnych ludów, przypuszczamy, że macie już pewne wiadomości z historii powszechnej, bo inaczej nie moglibyście dokładnie tych pogadanek zrozumieć. Miełicie już w Piśmie naszym całkowitą historią budownictwa od najdawniejszych do najnowszych czasów, teraz kolej na rzeźbę; bo z trzech sztuk plastycznych, to jest wywierających wrażenie za pośrednictwem wzroku, architektura zawsze najwcześniej się rozwijała pomiędzy ludźmi cywilizowanymi, następnie przyłączała się do niej rzeźba, gdyż okazała budynki przyozdabiano zwykle pięknymi posągami. Najpóźniej dopiero do tych dwóch sztuk przybywała trzecia, malarstwo.

Już dawniej, rozpoczynając te pogadanki, staliśmy się wam wytłumaczyć, jak to artysta rzeźbiarz lub malarz, biorąc wzory do swoich dzieł z przedmiotów widzianych w przyrodzie, usiłuje jednak tak je przedstawić, aby się wydawały piękniejsze od rzeczywistych. Takie wzory udoskonalone we własnej wyobraźni nazywa on swoim ideałem. Nie chcemy tu powtarzać tych uwag ogólnych,

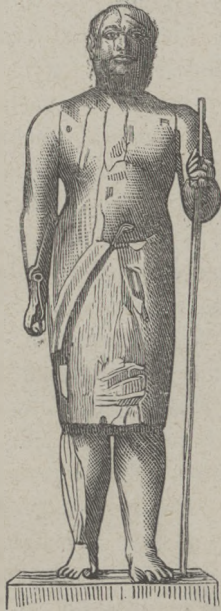
możecie je sobie odczytać na str. 685 Wieczorów Rodziny z r. 1880.

Artysta budowniczy musi z wyobraźni wysnuć cały plan swojego dzieła, pięknej budowli; rzeźbiarz znajduje wzory gotowe w przyrodzie, naśladuje więc tylko postaci ludzi lub zwierząt, nadając im owe udoskonalone, idealne kształty. Dobiera

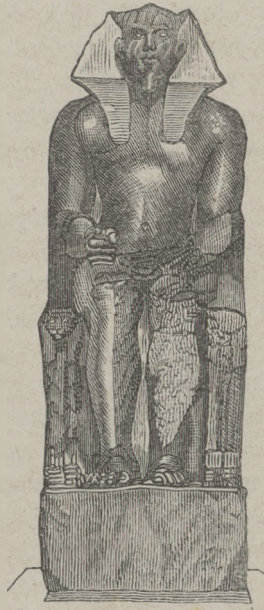
sobie do tego materiał, jaki mu się podoba, metal, kamień, glinę, drzewo, wosk nawet. Do przedstawiania zwierząt najwłaściwszy jest brąz, który ciemną swoją barwą dobrze naśladuje skórę sierścią obrośniętą, do postaci ludzkich najlepiej się nadaje piękny, biały marmur.

Historią rzeźby rozpoczęni także od Egiptu. Wiecie z dziejów powszechnych, że Egipcjanie byli narodem cywilizowanym od czasów niepamiętnych, a państwo ich trwało niezmiernie długo, dłużej daleko od innych

starożytnych państw. Dzieje Assyryjczyków, Persów, wreszcie Greków i Rzymian, zajmują pewną określoną liczbę wieków; w dolinie Nilu różne dynastie Faraonów panowały przez tak ogromny przeciąg czasu, że historycy nie są w stanie obliczyć go na lata, ani odszukać peczątków egipskiej cywilizacji w zamierzchłej starożytności. Historia tego narodu zajmuje już nie setki, ale tysiące lat. A przez ten czas w pojęciach religijnych, w urzą-



Ra-em-ke.



Szafra.

dzeniu kraju, w obyczajach, niewiele się zmieniło. Nawet i dzieła sztuki zawsze były podobne do siebie. Egipcyanie nie mieli wyobrażenia o kaprysach mody, z pokolenia na pokolenie przechodziły też same upodobania.

To, cośmy dawniej mówili o architekturze egipskiej, da się zastosować prawie w zupełności i do rzeźby. Wysilano się tam szczególnie na ogromne, kolosalne kształty, stawiano olbrzymie piramidy i podpierano świątynie potwornymi słupami. I rzeźbiarze także ciosali posągi niezmiernych rozmiarów, ale obok tego wyrabiali mnóstwo drobniejszych figurek. Egipcyanie dbali o to bardzo, ażeby w grobach, przy szczątkach zabalsamowanych, znajdowało się jaknajwięcej posążków, wyobrażających bóstwa, postać zmarłego i różne przedmioty używane przez niego za życia. Wszystko to musiało być niewielkie, często nawet bardzo drobne, aby mogło w podziemnym grobie się pomieścić.

Rzeźbiarze egipscy używali do swoich wyrobów najrozmaitszych materiałów, poczynawszy od drzewa i gliny do najtwardszych kamieni i metali. Mieli oni w kraju swoim piękny różowy granit, i inne skały bardzo trudne do obrabiania, jak bazalt, porfir, dyoryt. Zdumiewać się potrzeba nad cierpliwością i wytrwałością tych robotników, którzy takie bryły twardego kamienia zdołali ociosować i oglądać, nadając im kształty kolosalnych postaci ludzi i zwierząt.

Najdawniejsze zabytki rzeźby egipskiej, współczesne piramidom, znacznie się różnią od późniejszych i rzecz dziwna, te starożytne posągi, wykonane na kilka tysięcy lat przed Nar. Chrystusa, daleko są piękniejsze od tych wszystkich, które po nich nastąpiły w czasach mniej starożytnych. Rysunek nasz przedstawia dwa posągi z tego okresu, który w historii nosi nazwę najdawniejszego państwa, gdy królowie egipscy przebywali w Memfisie. Jak wiadomo, później główną stolicą były Teby, w wyższym Egipcie. Figura, przedstawiająca człowieka stojącego z laską w ręku, jest wizerunkiem jakiegoś wysokiego dygnitarza, nazwiskiem Ra-emeke, który żył za czasów piątej dynastji, a więc mniej więcej na 4000 lat przed Chrystusem. Wizerunek ten zrobiony jest z drzewa cedrowego; trudno pojąć, jakim sposobem mógł się przechować prawie bez uszkodzenia przez kilkadziesiąt wieków. Tylko pokost zewnętrzny stał się zupełnie, ale najdrobniejsze szczegóły rzeźby pozostały nienaruszone. Wyraz twarzy ma w sobie tyle prawdy i życia, że Arabowie, którzy ten posąg odgrzebali z ziemi, jednogłośnie zawołali, spojrzawszy na niego: To szeik El Beled! Rzeczywiście urzędnik starożytnych Faraonów nadzwyczajnie przedstawiał

podobieństwo do żyjącego wówczas w tej wiosce szeika. Oczy urządzone są bardzo dowcipnie z kawałka kwarcu, osłania je powieka bronzowa. Pod żrenicą z kryształu górnego przytwierdzony jest błyszczący ówieczek, wszystko to razem do złudzenia naśladuje oko żyjącego człowieka, a ci, którzy ten ciekawy zabytek oglądali w muzeum paryżkiem powiadają, że dreszcz ich mimowolny przejmował, gdy napotkali wpatrzony w siebie wzrok tego drewnianego człowieczka.

Po prawej stronie widzicie posąg króla Szafry z IV dynastji, tego samego, co pobudował jedną z największych piramid. Jest to postać olbrzymia, wyciosana z dyorytu, kamienia nadzwyczajnie twardego. Wspaniały ten posąg odszukany został na dnie jakiejś opuszczonej studni, historycy ztąd wnoszą, że król Szafra musiał nienawistne wspomnienie pozostawić po sobie, skoro poddani tak mało mieli poszanowania dla jego wizerunku. Jnne posągi tego monarchy odszukano także poobalane i uszkodzone.

Wszystkie rzeźby egipskie, pochodzące z tego najdawniejszego okresu, też same przedstawiają cechy, a mianowicie, mają w sobie wiele prawdy i naturalności; są to wierne wizerunki żyjących ludzi, niezawodnie bardzo podobne, bo w całym układzie ciała i wyrazie twarzy można poznać, że były starannie naśladowane z natury. Niema w nich idealnej piękności, która usiłuje rzeczywistość przewyższyć, bo starożytni ci artyści nie mieli jeszcze tego poczucia, starali się tylko jaknajwierniej i najdokładniej odtworzyć wzory, jakie mieli przed oczyma i trzeba przyznać, że im się to znakomicie udawało.

W późniejszych czasach nastąpiła ogromna zmiana. Wszystkie rzeźby, czy to posągi bóstw, czy wizerunki królów i innych żyjących ludzi, przybrały postać tak jednostajną, jakby były wykonane według jednego, prawem jakimś przepisane go wzoru. Każdy posąg ma ten sam układ, jednakowo trzyma ręce, w ozdobach nawet niema najmniejszej różnaitości, wszystko jest sztywne, ramiona i ręce przylegają do ciała, twarz ma wyraz martwoty i nieruchomości, trudno sobie nawet wyobrazić, że te kamienne wizerunki mają naśladować postaci żyjące. Historycy przypuszczają, że kapłani, którzy wszystko chcieli zagarnąć w swoje ręce, musieli i nad sztuką ścisły nadzór rozciągnąć. Zapewne też oznaczyli ścisłe prawidła, od których artystom nie wolno było odstępować. Sztuka tak skrepowana nie mogła się rozwijać i doskonalić, dla tego też przez tyle wieków małe tylko zmiany i ulepszenia dostrzegać się dają w rzeźbach egipskich. Ten rodzaj sztuki, ściśle podlegający pewnym uświęconym prawidłom, przepisany artystom przez ka-

planów, nazywają historycy stylem hieratycznym, od greckiego wyrazu *hieros*, poświęcony.

Wspomnimy najpierw o wyobrażeniach bóstw. Wiecie, że Egipcyanie czcili przeróżne zwierzęta; bałwochwalstwo tego rodzaju właściwe było wszystkim mieszkańcom Afryki. W tej części świata zwierzęta są tak liczne, tak silne i drapieżne, że muszą w ludziach wzbudzać trwogę, a w czasach pogańskich, człowiek zapomniawszy o Bogu prawdziwym, zazwyczaj czcił to, czego się obawiał, gromy, wichry, a także i zwierzęta, które siłą i drapieżnością miały nad nim przewagę. Wszystkie prawie wyobrażenia bóstw egipskich miały potworne kształty na wpół ludzkie i na wpół zwierzęce. Zwykle były to postacie mężczyzn i kobiet z głowami lwów, baranów, kozłów, krokodyłów, sokółów, ibisów i innych podobnych stworzeń, czy to złośliwych, czy pożytecznych. Olbrzymie figury sfinksów miały zwykle głowę ludzką na tułowiu lwa. Według zdania uczonych, było to wyobrażenie, czyli symbol potęgi monarszej. Często także sfinksy miały głowy baranie, ustawiano je długimi szeregami u wejścia świątyń. Najogromniejszy z egipskich sfinksów ustawiony jest jakby na straży największej piramidy. Głowa jego ma wynosić półtrzecia metra wysokości, długość tułowiu 39 metrów, wysokość 17. Inni podróżni dają mu jeszcze znacznie większe rozmiary. Pomimo takiego ogromu, wyraz tej ludzkiej twarzy jest łagodny i miły, przebija w niej siła i spokój, a cała figura jest doskonale i bardzo proporcjonalnie wykończona.

W różnych okolicach Egiptu przechowały się olbrzymie posągi, zwykle granitowe, wyobrażające wizerunki monarchów. Najwięcej jednak rzeźb wspaniałych, tak jak i budowli, wykonano za panowania Ramsesa wielkiego, czyli Sezostrysa, w miejscowości zwaną Ipsambul. W świątyni podziemnej, wykutą w skale, znajdują się liczne posągi tego króla i jego rodziny. Największe, ustawione u wejścia, dochodzą 22 metrów wysokości, inne, w wewnętrznych framugach umieszczone, od 6 do 12 metrów. Jest to ogrom niesłychany.

W okolicy starożytnych Teb przechowały się dwa olbrzymie posągi, które także na 20 metrów obliczają. Są to wizerunki króla Amenofisa III-go, którego Grecy i Rzymianie przewali Memnonem. Jeden z tych posągów sławny był bardzo za panowania Rzymian w Egipcie, na początku ery naszej, gdyż miał wydawać szczególniejsze dźwięki o wschodzie słońca. Posąg ten, uszkodzony przez trzęsienie ziemi, miał w sobie jakieś szpary, w których cząsteczki kamienia, w skutek rozgrzania zapewne, wprawione były w drganie, gdy słońce o świcie na nie padało. Ztąd powstawać mogły owe dziwne

dźwięki, w których zabobonni Rzymianie cud upatrywali. Gdy jeden z cesarzów posąg naprawić kazał, zaraz ta muzyka ustała zupełnie.

Nie mniej zadziwiające od tych kolosów są drobne przedmioty, wyrabiane przez rzeźbiarzy egipskich z gliny, drzewa, kości słoniowej, z brązu, złota i drogich kamieni. W muzeum paryżkiem jest naprzykład zbiór małych łyżeczek, nadzwyczaj ozdobnych i z wielką starannością i dokładnością wykończonych. Każda ma postać odmienną, jedna naprzykład przedstawia pieska, trzymającego w pyszczku muszelkę. Piesek jest rękojescią, muszelka łyżeczką. W innej znów dziewczynka wyciągniętą ręką zrywa liść lotusowego grzybienia, wodnej rośliny, rosnącej na Nilu. Panie egipskie stroiły się w piękne i bogate klejnoty, najczęściej przedstawiające figury różnych zwierzątek. Naszyjnik składał się naprzykład z małych złotych węzów, poplątanych ogonkami. Fermoar miał czasem kształt jastrzębia z rozłożonymi skrzydłami, a czasem i wyobrażenie jakiegoś bóstwa noszone było dla ozdoby w naszyjnikach i naramiennikach.

Z tych drobnych figurek najwięcej znaleziono we wszystkich grobach i świątyniach małych żuków pewnego gatunku, które Egipcyanie czcili i uważali za symbol nieśmiertelności. Każda mumia, tak nazywano ciała zabalsamowane, musiała mieć przy sobie jednego lub więcej takich żuków, wyrobionych bardzo ozdobnie z kosztownych kruszców lub kamieni. Łatwo sobie wyobrazić, jaka niesłychana ilość tych pięknych robót musiała istnieć w całym Egipcie, kiedy po tylu wiekach jeszcze się ich tak wiele przechowało w różnych wykopaliskach. Każde większe muzeum europejskie posiada ogromne zbiory tych starożytności egipskich, a ileż to jeszcze spoczywa w ziemi, ile wreszcie czas zniszczył. Naród ten był dziwnie pracowity i wytrwały. Z tych wszystkich zabytków, które Egipcyanie pozostawili po sobie, możemy wnosić, że oni każdą robotę rozpoczynali z tą myślą, aby mogła przetrwać, nie lata, ale setki i tysiące lat. I w rzeczy samej żaden lud nie pozostawił po sobie tyle trwałych, niespożytych pamiątek.

A jednak i ta wiekowa wielkość Egiptu przeminęła wkońcu, inne narody zajęły po nim pierwszorzędne miejsce na widowni dziejów, potem i one także zatonęły w nieustającej powodzi czasu, a kamienne zabytki, które dziś oglądamy, przywodzą nam na pamięć tę wieczną prawdę: Niema nic trwałego na tej ziemi.

M. J. Zaleska.

ŚWIĘTY WOJCIECH.

Ranek już świtał... słońce wspaniałe,
 Jak z rubinowej wstało pościeli —
 Całe czerwone. A na błękitcie,
 Gdyby łabędzie śnieżystej bieli,
 Snuły się wieńcem obłoczki białe.
 Niebo i ziemia w niemy zachwycie,
 W czułej harmonii uścisk się zwały.
 Jak jedną piersią, jednemi słowy,
 Jednym uczuciem, jednym oddechem —
 Lasy, strumienie, błonia i skały,
 Ptaszkowie leśni, gaje, dąbrowy,
 Mierzonym taktem wspólnie zagrały
 Pieśń powtórzoną rozległem echem.

Przed majestatem wszechwładnym słońca
 Gwiazdy pierzchnęły, poblądło zorze;
 Ziemia się stroi w barwy tęczowe,
 Purpury blaskiem połyska morze,
 Jasne, przejrzyste, z końca do końca.
 A błękit rzeki złotem się pali,

I nimf podwodnych szemrząc rozmowę —
 Błyski dyamentów wyrzuca z łona.
 A na powierzchni, po wód głębiny,
 Co się w promieniach świtu kryształy,
 Lekka, wiosłarska łódź zwolna płynie...

W łodzi dwie widać postaci zgięte:
 Jedna ku falom twarz obrócona,
 Z rozwianym włosom, namiętna, dzika,
 Srogości pełna — to twarz sternika.
 Drugi, oblicze miał czyste, święte,
 Nic mu jasnego nie chmurzy czoła;
 Szaty kapłana, krzyż Pański w dłoni,
 Na licach spokój rozlany błogi —
 Bo on rozniecał światłość dokoła,
 I życia mylne prostował drogi.

Po przezroczystej łódka mknąc toni,
 Na północ szybkim ruchem pędziła,
 Maczając skrzydła w wód srebrnej pianie...
 Ach! taka jazda nad życie miła!
 Czuć tylko lekkie łodzi wahanie,
 I nic nie widać — prócz niebios w dali,
 I nic nie słyhać — prócz szmeru fali.

Powietrze wielka zaległa cisza,
 Jaskółka chyba, lub gołąb szary
 Przemknie się chyżo — i znów milczenie.
 Aż kapłan pierwszy do towarzysza
 Tak się odezwie: „U źródła wiary
 Spoczywa prawych chrześcijan zbawienie;
 A kto uwierzy, ten ma nadzieję,
 Że i za grobem prawda zwycięży,

I mężnie zwalcza życia koleje...
 Lecz Chrystus, bracie, nie znał oręża,
 Nie znał innego, nad miłość, miecza.
 Miłość — to życie! Bóg kochać każe...
 Lecz jakże słaba miłość człowieka!

Oto w tym kraju, twoi ziomkowie
 Fałszywym bogom wznoszą ołtarze,
 A pogrążeni w pogaństwa błędzie,
 Kruszą brzeszczoty na wrogów głowie,
 I kędy przejdą, mord niosą wszędzie,
 Chrystusowego nie znając prawa.
 Lecz kładę ufność w Panu, i tuszę,
 Że dzień już blizki, w którym na ziemi
 Zagaśnie wojen pochodnia krwawa,
 I miłość serca pogan poświęci...
 Nie jednym Bogu pozyskał duszę,
 Nie jedną prawdym wskrzesił wiecznemi,
 A gdy pomogą Anieli święci,
 To wkrótce w dzikiej Prusów krainie,
 Prawego Boga Imię zasłynie“...

Tu kapłan mowę przerwał na chwilę,
 Spojrzeniem zawisł w nieba błękitcie,
 I pocnie znów: „Kto w Bogu żyje,
 Spokoju duszy dozna obficie,
 I spokój jego będzie mogile, —
 Porzuc więc bracie bożyszczka stare!
 A gdy chrzest duszę z grzechu obmyje —
 Poznasz, jak wielka jest Wszechmoc Pana,
 Coć przez niegodne usta kapłana,
 Prawdziwą swoją objawił wiare“.

Zaledwie słów tych domówić zdołał,
 Aż twarz wiosłarza gniewem zapłonie:
 „Na nic się nie zda twój piękny morał —
 Ty psie chrześcijański! — wściekle zazgrzyta —
 Pierwój twe stare cielsko zatonie
 W głębiach tej wody, nim z moich braci
 Choć jeden, twemi uwiedzion czary,
 Ojców się swoich wyrzeknie wiary“.

Tu już poganin za wiosło chwyta
 I przebić grozi. Lecz sługa boży,
 Wśród niebezpieczeństw męztwa nie traci.
 Śmierć go nie wzrusza ani też trwoży,
 Prosi więc tylko: „Nie karz go, Panie!
 Za to morderstwo — Tyś litościwy!
 A wola Twoja niechaj się stanie...
 Chciał wyrzec — Amen — lecz Prusak mściwy
 Zdradzieckim ruchem, jak żądłem żmija,
 Wiosłem mu piersi nawskroś przeszywa.
 Raz jeszcze westchnął: „Jezus... Marya!“
 Zawarł powieki, chwieje się, waży,
 Śmierć targa zwolna życia ogniwa...

A u wezglowia, bielsi od śniegu,
 Dwaj Aniołowie, stojąc na straży,
 Skroń męczennika gwiazdami wieńczą...
 Stenik przelękły niebian widzeniem,

Jak strzała szybko dobija brzegu,
Łódź go unosi skrzydły lekkimi, —
A przed nim, długim ściele się cieniem
Słońce, zakryte czarną obręczą
Na znak żałoby...

W Lechickiej ziemi.

Zasiadł naówczas na Piastów tronie
Bolesław pierwszy, Chrobrym nazwany;
Gdy wieść nadeszła o smutnym zgonie,
Król wnet wyprawił rycerskie posły,
By męczennika sprowadzić ciało.
Ale, że król był dumny, wyniosły,
Więc nie podstępem — drogą zamiany
Kazał, jak prawym władcóm przystało,
By złota tyle Prusakom dali,
Ile zaważą zwłoki na szali. —

Dźwięczny brzęk złota — urok nie lada!
Zwłaszcza dla pogan łakomej rzeszy...
Gdy więc w poselstwie przybyli Lachy,
I oznajmili króla zlecenie, —
Uradowana Prusów gromada,
Wnet się warunek wykonać śpieszy.
Zbyszy z pamięci płonne przestrachy,
I to Aniołów białych widzenie —
Wpośród okrzyków radosnej wrzawy,
Postać świętego martwą i bladą,
Z dziką lubością na wagę kładą...

I znów na niebie błysnął świt krwawy,
A w koło spokój był wielki, głuchy...
Pogan tajemna przejęła trwoga,
Patrzą zdumieni — czy wzrok ich myli?
Czy to igraszka losu złowroga?
Ciało świętego, nadziemską siłą,
Jakby je w górę podniosły duchy —
Na szalach wagi nic nie ważyło!

Zadrzały tłumy — bo w jednej chwili,
Stracone widzą skarbnice złota,
Co ich bogactwem nasycić miało...
A gdy poganin w złości się miota,
Poczet Lechitów padł na kolana,
Wielbiąc w tym cudzie wielką moc Pana.

Potem do kraju uwieźli ciało,
A król i naród cały w żałobie,
Otoczon liczną duchownych świtą,
Pochował w Gnieźnie z czcią należytą
Zwłoki męczeńskie — w wspaniałym grobie.
I odtąd w całej polskiej krainie
Patron nasz święty cudami słynie.

Olimpia Skibińska.

BOGACTWA PANA STAROSTY.

Opowiadanie z niedalekiej przeszłości.

(Dokończenie).

Ach, panie Mateuszu — przerwałem niecierpliwie — proszę już mówić prędzej, co tam było w tej skrzyni, jak wyglądały te bogactwa pana starosty i jak się dziadunio niemi cieszył.

— Nie bądźże panicz taki gorączka — mówił staruszek, uśmiechając się — zaraz ja to wszystko opowiem. Dziaduś gorzej się niecierpliwił, a przecie nie mógł od razu skrzyni otworzyć, bo klucza przy niej nie było, a do tego zamek i zawiasy strasznie zardzewiały. Ale ja, nie wiele myśląc, pobiegłem po siekierę i jak wyciąłem nią parę razy w wieko skrzyni, rozleciało się z trzaskiem na wszystkie strony. Rzuciliśmy się do środka, panu teraz dopiero ręce zaczęły się trząść, jak w febrze. Z wierzchu leżały jakieś papiery zażółkłe, zbutwiałe, pan je szybko zrzucił, szukał dalej, a tam znów papiery, poprawiane w skórę, jakieś stare, odwieczne księgi. Dobywaliśmy je jedno po drugim, ale i pod spodem nie było nic więcej, tylko znów inne księgi i inne papiery i tak aż do samego dna.

Mnie czegoś zrobiło się straszno, popatrzałem na pana, bladą był, jak śmierć, a oczu nie mógł oderwać od tej próżnej skrzyni, nie wymówił przez cały czas ani jednego słowa. Ja także ust otworzyć nie śmiałem, żal okrutny ścisnął mi serce, bo tyle tylko z tego wszystkiego zrozumiałem, że wszelka nadzieja znalezienia owych bogactw pierzchnęła, jak senna mara. To, o czem ludzie mówili od tylu lat, tyczyło się niezawodnie tej skrzyni, a tu w niej nie było nic a nic, tylko stare, niepotrzebne szpargały. Pan jednak nad spodziewanie moje prędko ochłonął ze swojej zadumy, odsunął skrzynię w głąb pokoju i prawie spokojnym głosem się odezwał:

— Idźmy spać, Mateuszu; namęczyliśmy się dosyć tej nocy, ale już raz przecie doczekałem się końca. Niema bogactw, niema skarbów, trzeba sobie i bez nich jakoś radzić na świecie. Szkoda tylko zmarnowanego czasu, ale da Bóg naprawi się to jakoś. Idźmy spać, Mateuszu, strasznie mi się spać chce.

Mnie także okrutnie już zmorzyło, więc nie zbierając się padłem na posłanie i kamiennym snem spałem, już nie wiem nawet, do której godziny. Posłyszałem przebudziwszy się, że się ludzie po domu uwijali, tylko w pokoju pana było cichuteńko. Myślałem, że śpi jeszcze, ale trochę

niespokojny, czy nie zasnął czasem ze zmęczenia i frasunku, odchyliłem ostrożnie drzwi i zajrzałem. Pan siedział przy stoliku zupełnie ubrany, zapewne tak samo, jak i ja, nie rozbierał się tej nocy, a co niezmiernie mnie zdziwiło, czytał najspokojniej jeden z tych obrzydłych zwojów papierowych, które ja właśnie zabierałem. się spalić jaknajprędzej na kominie, ażeby już raz zapomnieć o tej całej nieszczęsnej przygodzie. Ale pan mię ofuknął, gdy o tém wspomniał.

— Ani mi się waż tego ruszać, Mateuszu — rzekł, otrzepując starannie z kurzu stare księgi, na które ja nie mogłem patrzeć bez gniewu — to są wszystko bardzo piękne i pożyteczne rzeczy, bogactwa prawdziwe.

Przełąknęłam się w pierwszej chwili, bo mi przyszło do myśli, że panu z wielkiego zmartwienia mogło się trochę w głowie pomięszać, ale uspokoiłem się wkrótce, bo pan mówił zupełnie przytomnie, a złożony porządkie księgi i papiery w wielkiej szafie, wyszedł do gospodarstwa, wszystko oglądał, o wszystko się rozpytywał, nie dając poznać po sobie ani smutku, ani wzruszenia żadnego. Ja tymczasem, nie mogąc się na papierach zemścić, skrzynię przynajmniej potłukłem i połamałem na drobne kawałki, a nie strudziłem się przytém, bo dobrze już była spróchniała i wszystko drzewo spaliłem w piecu, a żelazto wrzuciłem w głęboki dół w ogrodzie i nikt nigdy się nie dowiedział, cośmy z panem znaleźli w podziemiach zamkowych.

Tu umilkł stary Mateusz, a ja spoglądałam na niego z pewnym rozczarowaniem, bo cała ta historia wydała mi się jakaś niedokończona.

— I cóż dalej, panie Mateuszu — spytałem wreszcie po chwili milczenia — jakże dziadunio dał sobie rady z interesami? czy dostał z kąd pieniędzy, czy spadek jaki otrzymał? bo teraz przecież, jakkolwiek nie jest magnatem, nie spodziewam się, aby miał długi. Majątek dobrze zagospodarowany musi dawać piękne dochody, skoro wystarcza na utrzymanie całej rodziny, synów, córek i wnucząt.

— Albo ja wiem, jak to się stało — rzekł stary, wzruszając ramionami — ot powiem prawdę paniczowi, gdyby nie to, że sam przecież na własne oczy widziałem owę skrzynię i stare papieryska, byłbym może i uwierzył w ludzkie gadania. Bo to w parę lat po tém zdarzeniu rozeszła się znów we dworze pogłoska, że pan znalazł bogactwa pana starosty, ino się z tém przed całym światem ukrywał. Ja wiedziałem najlepiej, jakie tam były bogactwa, a mnie samemu czasem dziwne myśli przychodziły do głowy, bo naprawdę od tego dnia, jakby cudem jakimś, wszystko się u nas na dobre zmieniło. Już to najpierw pan się zupełnie odmie-

nił; nie męczył się po nocach, więc wstawał codzień raniuteńko, obchodził gospodarstwo, w każdy kącik zajrzał, potem kazał sobie siodłać konia, objeżdżał pola, robotników sam doglądał, służba już teraz dobrze się pilnować musiała, bo każde niedbalstwo, każde nadużycie wysledził i ze wszystkiego sprawę sobie zdawać kazał. Kucharz był nadto ekspensowny, więc pan mu wypłacił zasługi i musiał sobie innego miejsca poszukać, a stara Marcinowa gotowała odtąd i dla pana i dla czeladzi. I rządca także został tylko do końca roku, pan powiedział, że sam będzie rządził; sprzedaliśmy wszystkie konie cugowe, a za to kupiec w tym roku daleko więcej owsa zakupił, niż zwyczajnie. Stary kredencierz poszedł na gumienego, mnie pan na leśniczego wykierował, we dworze do usług został tylko wyrostek, bo pan nic nie potrzebował, byle mu buty wyczyścił i wody przyniósł, obchodził się bez wszelkich wygód i wymysłów. Jakoś i Pan Bóg zaczął błogosławić, zboże ślicznie rodziło, bo też rola była zawsze tak starannie uprawiona, jak grzędy w ogrodzie, pan sam daleko lepiej tego doglądał od rządcy i ekonomu. Pomalutku i długi się spłaciły, i majątek się tak ulepszył i zagospodarował, że dziś daleko więcej wart niż dawniej, i większe daje dochody.

Otóż, jak sam panicz może miarkować, nic w tém wszystkiém niema tak dalece nadzwyczajnego, a jednak ja do tej pory nie mogę dobrze zrozumieć, dla czego pan mówił, że w tych starych księgach i papierach były skarby i bogactwa? A toż nieraz widziałem, jak pan w niedzielę, i nawet w dzień powszedni, w chwilach wolnych od różnych gospodarskich zajęć, wczytywał się w to wszystko i dotąd szafa z temi szpargałami w wielkiem jest poszanowaniu. Ile razy bywało zagadnę o to pana, zawsze mi odpowiadał: „Widzisz, mój Mateuszu, w tych księgach była mądrość pana starosty, a mądrość to największe bogactwo“. Ono to niby tak jest, ale ja zawsze myślę, że pan już przedtém musiał mieć mądrość w głowie, bo tak prędkoby ję z jakichś tam starych ksiąg nie nabrał.

Na tém się przerwała rozmowa z Mateuszem, ja jednak nie byłem zupełnie zadowolony z takiego zakończenia i wyglądałem sposobności, aby się czegoś więcej od dziadunia dowiedzieć o starych księgach. Nie śmiałem wręcz zapytać, ale przypadek usłużył mi doskonale. W wielkiej sali, gdzie po obiedzie zazwyczaj podawano kawę, wisiało na ścianach kilka dawnych portretów, którym ja często przypatrywałem się z wielkiem zajęciem. Były tam matrony w staroświeckich strojach, dzielni mężowie w żelaznej zbroi, lub w paradnych kontuszach i pasach litych. Malowidła te nie odzna-

czyły się wcale artystyczną wartością, ale musiały być bardzo podobne, bo wszystkie postaci wyglądały jak żywe i patrzyły na mnie tak przenikliwym wzrokiem, że czasem aż oczy spuszczałem z pewnym zakłopotaniem.

W parę dni po owiej rozmowie z Mateuszem, opisaną wyżej, stałem przed jednym z tych portretów, przedstawiającym niemłodego, poważnego mężczyznę, który trzymał w prawej ręce zwój pergaminu, a lewą w bok się podpierał nad ręką-jeścią szabli.

— A prawda, że mądrą bardzo ma minę mój pradziadek pan starosta? — zapytał dziadusi, wyjmując z ust ulubioną fajkę — oj, bo też to głowa była nie dla proporcji.

— Ach, dziaduniu — zawołałem mimowoli — czy to ten sam starosta... — tu jednak nagle urwałem, bo przypomniałem sobie, że stary Mateusz całą tę historią o bogactwach pana starosty i o znalezionej skrzyni opowiadał mi pod wielkim sekretem.

— Co bogactwa schował w zamkowych lochach? o to chciałeś zapytać — mówił dziaduniu, uśmiechając się dobrotliwie — widzę, że już Mateusz wyśpiewał ci te stare dzieje. Tak, to ten sam starosta, mądry człek, o! bardzo mądry człek.

— Dziaduniu — rzekłem ośmielony — jeżeli to nic złego, że Mateusz opowiedział mi to wszystko, niechże dziaduniu mi powie, co to były za książki tak szacowne w tej skrzyni, co miały niby to mądrość pana starosty zawierać w sobie i starczyć za bogactwa i skarby?

— Pokażę ci te książki, moje dziecko — rzekł dziaduniu — mieszczą one w sobie w rzeczy samej nieocenione skarby dla tych, którzy z nich korzystać umieją. Ja sam zaczerpnąłem w nich najzabawniejszą naukę, wskazówkę życia, którą każdy młody człowiek złotemi literami powinienby sobie zapisać, streściwszy ją w tych słowach:

Z przeszłości ucz się, a przyszłość zdaj Bogu,
Pracuj cnotliwie na ojczystym progu.

Mówiąc to dziadek poprowadził mnie do swojego pokoju, otworzył szafę i pokazał wielkie książki w skórę oprawne i zaółkłe arkusze papieru, które niegdyś przed laty wydobył z okutej skrzyni. Był tam najpierw rodzaj pamiętnika, a jak dawniej nazywano dyaryusza, w którym pan starosta spisywał wszystko, co mu się wydarzyło, a także i wypadki krajowe, dodając do tego różne swoje uwagi i spostrzeżenia. Przez dziwny zbieg okoliczności historia pana starosty podobna była bardzo do dziaduniowej, którą już znałem z opowiadania Mateusza. Młodo bardzo stracił rodziców

i odziedziczył po nich dobra zadłużone i obciążone różnemi zawikłanemi sprawami.

„W szkołach mnie jeszcze uczono” pisał pan starosta „że w każdej trudniejszej życia konjunkturze zaciągać trzeba rady ojców i przykład brać z przeszłości. Nie mając nikogo ze starszych, kogobym się mógł poradzić, zacząłem się wczytywać w stare dyaryusze naszej familii, szukałem w nich przykładu i rady. Znalazłem tam wiele dobrego, ale i złego niemało, więc postanowiłem naśladować dobro, a złego się wystrzegać i dobrze na tém wyszedłem. Przekonałem się, że każdy z moich przodków, co chciał żyć nad stan, nie pilnował roli, ale w stolicy lub zagranicą dużo wydawał pieniędzy, zawsze siebie i dzieci doprowadził do wielkich kłopotów; a gdyby nie to, że zwykle z Opatrzności bożej, następcy nauczeni tym przykładem, inne prowadzili życie i oszczędnością a pracą naprawiali to, co rodzic nabroił, już dawno musiałyby ród nasz pozbyć się ojcowizny i pójść na poniewierkę. Jasne to jest, jak dzień boży, że każdy może wyżyć na swojej glebie i nie zazna głodu, bo ziemia jest dobrą matką i wszystkie dzieci swoje wykarmi, byle ją tylko pracowicie a starannie uprawiały i darów jej nie marnowały.

Wczytałem się także w dzieje ojczyste i z nich też samą czerpałem naukę. Pycha, nieogłędność, niszcząc pracę wieków dawniejszych, zawsze wcześniej lub później zasłużoną odnosiła karę, a za winy ojców pokutują dzieci, wnuki i prawnuki, gdyż ludzkość jest jako drzewo wielkie, a narody jako konary i gałęzie, a ludzie, jako liście, opadające i odrastające. Z liści jednak całe drzewo pokarm swój pobiera.

Oby Bóg Wszechmogący ustrzegł duszę moją od takiego ciężaru, obym nie zepsuł tego, co dobrego uczynili ojcowie i nie ściągnął kary za własne grzechy na niewinnych moich następców. Przeszłość będzie mi ku temu najlepszą nauką“.

Nie mogę tu przytoczyć wszystkich pięknych rzeczy, zapisanych w dyaryuszu pana starosty, sam nawet dokładnie tego nie odczytałem, bo to były foliały ogromne, a mnie wtenczas jeszcze pstro było w głowie i korciło do konika i strzelby. Pamiętam jednak dobrze, jak przy końcu pan starosta polecał dzieciom, wnukom i wnukom wnuków swoich, aby strzegli jako najcenniejszych skarbów starych ksiąg, zawierających dzieje ojczyste i dyaryuszów, w których dawne dzieje ich rodu były zapisane. Zapewne też w tej myśli, wybierając się na wojnę z Tatarami, tę skrzynię okutą przechował w podziemiach zamkowych, a ztąd urosła pogłoska o bogactwach i skarbach.

Dziś już i ja jestem starcem, doświadczenie nauczyło mnie, ile w tém zdaniu było prawdy

i głębokiej mądrości, a ile razy widzę i słyszę, jak młodzież dzisiejsza lekceważy naukę dziejów ojczy-
stych i wszelkie pamiątki przeszłości za nic uważa,
zawsze sobie przypominam skrzynię pana starosty
i ciekawe opowiadanie starego Mateusza.

PAMIĘTNE CHWILE.

Dzień 1 i 2 Lutego 1676 r. Głucho, ponuro brzmi dzwon katedry na Wawelu, okna świątyni kirem zasłonię, czarno w niej, żałobnie, choć ołtarze, choć świeczniki jaśnieją od tysiąca światła; głucho w niej, ponuro, choć ludu moc wielką ją napę-
pełnia... W pośrodku świątyni widać dwie trumny wzniesione wysoko, obie wspaniałe, bogate, obie złotem i srebrem przystrojone, a w nich spoczywają blade, żółte postaci mężów; obaj mają czoła ozdobione koroną, gdyż obaj byli królami tej ziemi, na której katedra wawelska się wznosi, panami Krakowa nosi. Lud zebrał się tłumnie, by ostatnią posługę zmarłym królom oddać i stoi cichy, zadumany koło trumien, ale w oczach jego łez niema, na twarzach nie widać żalu, lud spokojnie patrzy na tych, których niezadługo odprowadzi do grobów kościoła, bo obaj zmarli nie pozyskali sobie serca narodu, obydwóch rządy

szczęścia krajowi nie przyniosły. Nie jedno bolesne wspomnienie widok tych trumien wywołał w sercach zebranych w świątyni. Ileż to klęsk i nieszczęść, ileż upokorzeń rządu Jana Kazimierza i Michała Korybuta przyniosły Polsce. Pewno obaj tego nie chcieli, pewno boleli nad losem kraju, przecież zawsze winni byli, że odwrócić, że zażegnać złego nie umieli. Dziś obaj już przed Bogiem, obaj zdają rachunek ze swych postępów, więc naród im nie bluźni, tylko ze smutkiem na trumny spogląda i klęski minione wspomina. Wtém ruch w kościele się zrobił, do świątyni weszli jacyś panowie, tłum się rozstąpił, torując im drogę do wielkiego ołtarza, a twarze wszystkich rozjaśniły się nagle.

— To on, to on!—szepcą, a spojrzenia wszystkie do jednego tylko z idących panów się ściągają. Bo też mąż ten góruje nad innymi, postawy wysokiej, silnie zbudowany, spojrzenie ma śmiałe, twarz szczerą, otwartą, ozdobioną pięknymi wąsami, strój narodowy, ale żałobny, zastosowany snąc do okoliczności, kontusz czarny aksamitowy, takiż żupan i pas srebrny, w rękę trzyma czapkę sobolami oszytą, z ramion spływa mu szuba, takimże futrem podbita. Idzie prosto, poważnie, a za nim kroczy drużyna panów; tłum patrzy na niego z miłością, dumą i radością.

— To on, to król!—szepcą jedni drugim.

Zkądże król? wszakże korona nie zdobi czoła owego męża, wszakże nie ma na sobie płaszcz



Kukułka australska (str. 107).

królewskiego, ani paziowie za nim nie idą... Lecz lud się nie myli, tak, to król wszedł do katedry. Jan III ci Sobieski jeszcze nie miał ani razu korony na skroniach, ale naród już go panem swym uznał, obiecał mu tron w nagrodę tego, co dlań uczynił i obietnicy dotrzyma.

Gdy Michał Wiśniowiecki zawarł haniebny pokój z Turkami w Buczaczu i Kamieniec Podolski im oddał, Sobieski, wówczas hetman koronny, wyruszył przeciw Turkom, a nie czekając aż przyjdą do Polski, wkroczył do Mołdawii i pod Chocimem odniósł nad nimi świetne zwycięstwo, poczem powrócił do kraju, gdzie go na elekcyą wezwano, bo właśnie król Michał życie zakończył. Ceniąc zasługi hetmana, naród okrzyknął królem

zwycięzcę z pod Chocima, lecz właśnie w tój samej chwili przysła wieść, iż Turcy po raz drugi napadli granice Polski. Nie czekając koronacy, Sobieski pośpieszył znowu na pole bitwy i znowu zwycięstwo odniósł; okryty teraz powtórny laurem powrócił do Krakowa, który pogrzebem dwóch królów właśnie był zajęty, Jana Kazimierza i Michała Korybuta; pierwszy zmarł we Francyi, lecz polecił, by ciało jego w grobach Wawelu pochowano, więc je tam sprowadzono; drugi za-

wątpił, że rozpocznie się dlań teraz wiek złoty, że dawne klęski zatarte zostaną, dawne rany zagojone, upokorzenia zmyte, straty odzyskane, że Polska znowu blaskiem chwały się okryje. Nadzieje jego spełniły się po części: Roku 1683, oswobodzając Wiedeń od Turków, Sobieski stanął na szczycie sławy.

Teresa Jaiwiga.



M a n g l i e.

kończył życie w kraju, teraz ich obu razem mają chować. Głucho, ponuro brzmi dzwon wawelski, a psalmy żałobne mu wtórują; duchowieństwo otoczyło trumny królewskie i poniesiono je do grobu i ustawiono na miejsce wiecznego spoczynku, a lud bez żalu pożegnał je i niebawem katedra opustoszała. Ale nazajutrz znowu zbiegły się do niej tłumy z innem dziś wszakże uczuciem, z innymi także twarzami; radość, wesele świecą we wszystkich oczach i dzwony inaczej też brzmiały 2 Lutego, inną bowiem uroczystość miano dnia tego obchodzić w katedrze, miano spełnić życzenie narodu, czoło bohatera z pod Chocima koroną ozdobić. I zasiadł Jan Sobieski na tronie Jagiellonów, biskup namaścił go na króla i pieśni dziękczynne obły się o mury świątyni.

Widząc dzielnego rycerza na tronie, naród nie

MANGLIE.

Rysunek nasz przedstawia drzewa zwrotnikowe, odznaczające się szczególną budową swych korzeni, które każdy z łatwością obejrzyć może, nie potrzeba ich bowiem wykopywać z ziemi, zawsze są na wierzchu w całej okazałości. Niektóre rośliny stref gorących, oprócz zwyczajnych podziemnych korzeni, wypuszczają inne powietrzne, czyli przybyszowe. Korzenie te wychodzą z pnia tak samo, jak gałęzie, ale zamiast rozpościerać się poziomo lub rość w górę, spuszczają się w dół i zagłębiają w ziemię. Manglie mają mnóstwo takich korzeni, które im nadają bardzo osobliwą postać. Drzewa te tworzą ogromne zarośla na bagnistych

morskich wybrzeżach, szczególnie przy zatokach rzek, w Ameryce południowej, w zwrotnikowej Azji i Afryce i na wyspach oceanu południowego. Wypuszczają one dwojakie gałęzie, jedne zwyczajne, okryte liśćmi, wnoszą się do góry, inne tworzą owe korzenie powietrzne, na których pień właściwy, rozgałęzioną koroną uwieńczony, podtrzymuje się jakby na palach. Widzicie na rysunku jak dziwnie wyglądają te drzewa, zdaje się, patrząc na nie, że stoją sobie w wodzie na wysokich nóżkach, obawiając się zamoczyć. Niewielkie żółte kwiatki manglii wydają owoc skórkowaty, długi, wysmukły, jak strzała, który także do osobliwości roślinnych policzyć można, bo jeszcze na drzewie zaczyna kiełkować i wypuszcza korzonek. Gdy już ten kiełek na parę cali się przedłuży, dziwne to nasionko się odrywa, spada w grunt bagnisty i rozrasta się dalej.

WYPRAWA

PO SKARBY UKRYTE WSRÓD PUSZCZY.

Przygody podróżników w Australii.

(Dalszy ciąg).

Upał straszliwy, kamienie są tak rozpalone, że niepodobna ich ręką dotknąć. Nawet i w nocy gorąco nie ustaje, bo zapas ciepła, nagromadzony w ciągu dnia przez skały i piasek, uchodzi w powietrze i rozgrzewa je tak, jak piec dobrze opalony. Mój Boże! kiedyż się wydobędziemy z tej łaźni? Woda, którą nam bardzo skąpo wydzielają, nie może nas orzeźwić, bo jest tak ciepła, że można by ją zaparzyć herbatę bez samowaru. O, gdyby wśród tych spiekłych głazów mógł wytrysnąć źródł świeżej wody! ale dziś jeszcze o tym marzyć niepodobna; daj Boże jutro lub pojutrze dostać się do innej okolicy.

Dziś z rana pan Szäfer wyjechał naprzód z dwoma innymi Niemcami z naszego orszaku. Wrócili około południa z bardzo pożądaną wiadomością, która rozradowała nas wszystkich. Powiadają, że tam dalej kamienie są większe jeszcze, ale nie tak gęsto rozsiane i wozy nasze złatwością będą mogły pomiędzy niemi przejechać, bez poprzedniego uprzątania drogi. Musimy pośpieszać o ile można, bo zapasy nasze podróżne wyczerpują się szybko, nawet i wody zabraknie nam niezadługo. Konie są tak znużone i wycieńczone, że mogą ustać co chwila, a cóż pocniemy bez koni?

Jedziemy więc dalej z nadzieją w sercu, gdy

wtém nagle, coś jakby mgła ciemna, lub gęsty kłęb dymu przysłania słońce ponad nami, ciemność zapada niespodzianie... do wieczora jednak jeszcze daleko, zaledwie pierwsza z południa. Powietrze przybrało barwę szarą, a na tém tle latają jakieś żółtawe odbłyski. W kilka minut całe niebo pokryło się ciężkimi chmurami, ponad ziemią zawisła ciemna, sina opona, obrzeżona złowrogim rąbkiem miedzianym. To burza, taka burza, o jakiej my w naszym europejskim klimacie wyobrażenia nawet nie mamy, straszliwy huragan zwrotnikowy, wybuchający gwałtownie, bez żadnego uprzedniego przygotowania, jak gdyby sklepienie niebios rozerwało się nagle nad nami. Wozy postępowały w tej chwili jeden za drugim pomiędzy głazami, sterczącymi naksztalt ścian po obu stronach tej wązkiej drożyny. Cała karawana się zatrzymała, musimy przeczekać ten straszny kataklizm. Olbrzymia błyskawica przeleciała po niebie, jak wąż ognisty opasując czarną chmurę od końca do końca, huk piorunu przebił powietrze, a na to hasło wszystkie żywioły naraz się przebudziły i rozpoczęła się przerażająca walka na niebie i ziemi. Pioruny biją jeden za drugim z taką gwałtownością, że łoskot ani na chwilę nie ustaje, błyskawice migają na wszystkie strony, całe sklepienie niebieskie zdaje się płonąć i ogniem buchać. Przy tych fosforycznych blaskach wszystkie przedmioty otaczające przybierają kształty dziwaczne, potworne, ziemia drży pod stopami naszymi, jakby z posad wzruszona. Nie, to nie jest złudzenie, do tej straszliwej nawałnicy dołącza się rzeczywiste trzęsienie ziemi. Ruch jest tak silny i gwałtowny, że z trudnością możemy się na nogach utrzymać. Cała przyroda przebywa jakiś okropny kataklizm. Konie przelęknięte stoją z pochylo-nemi łbami, psy tulą się do ziemi, ludzie są ogłuszeni i osłepieni. A wśród tego huk, łoskotu, wśród blasków olśniewających, nagle spada na nas z wysoka, nie deszcz ulewny, ale niezmierna masa wody; tak zupełnie, jakgdyby tam na sklepieniu niebios oberwało się raptownie dno wielkiego jeziora i wszystka woda wylała się odrazu na ziemię. Na szczęście potop ten trwa tylko jedną chwilę, a ponieważ wozy nasze stoją na miejscu dość wyniosłem, więc nas woda nie zatopiła, lecz spłynęła natychmiast strumieniami i wyszliśmy cało z tej kąpieli.

Nawałnica ustaje niemniej gwałtownie, jak się rozpoczęła; rozhukane żywioły uspokajają się w jednej chwili, gromy ucichają, gasną błyskawice, chmury rozplywają się na niebie, jasne słońce ukazuje się wśród błękitu. Byliśmy przemoczeni do nitki, ale upał prędko nas osuszył, termometr wskazywał 45 stopni. Ruszyliśmy dalej, droga

nasza zwięzła się coraz więcej, coraz wyżej piętrzyły się po obu stronach olbrzymie głazy, był to jakby wawóz ścieśniony pomiędzy stromemi skałami. Ale cóż to się stało? z pierwszego wozu słyszeć się daje wykrzyknik, jakby zdziwienia lub przestachu; karawana się zatrzymuje. Porucznik Robarts, jadący wraz z nami konno za wozami, zsiada i przediera się wązką drożyną, chcąc się dowiedzieć, jaka nowa przeszkoda nam grozi. Po chwili powraca z wiadomością, że nie możemy jechać dalej; w poprzek drogi stoi skała tak wielka, jak kamienica. Takiej zapory nie ma sposobu odsunąć.

— A więc zawracajmy — wołają niektórzy.

— Dobrze to powiedzieć, zawracajmy, — rzece sir Harwey — ale jakże tu obrócić wozy? wpadliśmy jakby w zasadzkę, niepodobna się ztąd wydobyć.

— A przecież nie możemy tu siedzieć długo, bo zginiemy z głodu i pragnienia.

— Co za nieszczęście — odezwał się Franciszek, Kanadyjczyk ogromnego wzrostu, jeden z najzauważniejszych domowników sir Reeda — jeszcze dziś rano droga była zupełnie swobodna, bośmy tu przecież byli razem z Szäferem. Ta skała oberwała się niezawodnie w czasie tej strasznej nawałnicy. Gdyby nie to, za dwie godziny najwyżej dojechalibyśmy do lasu, gdzie jest źródło wybornej wody; widziałem je na własne oczy. Jakby na potwierdzenie tych słów ozwał się wrzask ptaka, który się zerwał z pobliskiej skały. Po głosie i postaci poznaliśmy kukułkę australską, która jest olbrzymem tej rodziny. Dziób ogromny nadaje jej postać okazałą, z obyczajów zaś, jak upewniają naturaliści, podobna jest do wszystkich swoich krewniaczek i tak samo jaja podrucza w cudze gniazda.

— Ten niegodziwy ptak wyraźnie sobie z nas szydzi — rzekł major — jemu tak łatwo do lasu się dostać, a my tu uwięzieni jesteśmy pomiędzy temi skałami, jak szczury w norze.

— Radźże teraz, mój Franciszku, co robić? — rzekł sir Reed.

— Panie, trzeba zawracać, innej rady niema.

— Ale zlituj się, jakże tu zawrócić?

Kanadyjczyk uśmiechnął się z miną człowieka, który i w najgorszych wypadkach jakoś sobie umie zawsze poradzić. Znał on się dobrze z puszcza i nie obawiał się jej wcale.

— Ba! — rzekł w końcu — nie możemy wprawdzie obrócić wozów, ale któż nam broni odjąć dyszel z przodu i z tyłu go przytwierdzić. Konie dadzą się przeprowadzić i przeprowadzić z łatwością. Tym sposobem wyciągniemy wozy z tej pułapki i poszukamy innej drogi.

— Brawo! wyborny pomysł! — wykrzyknęliś-

my jednogłośnie. Dziwna rzecz, że prosty ten sposób nikomu przedtém nie przyszedł do głowy.

— Dziękuję ci, Franciszku — rzekł sir Reed poważnie — nie trać więc czasu i bierz się do dzieła.

W pół godziny wszystko już było gotowe, dyszle przytwierdzone, konie zaprzężone, my na koniach ruszyliśmy teraz naprzód, a za nami postępowały wozy. Wydobyliśmy się wkrótce z tego zdradzieckiego wawozu i zwróciliśmy się na prawo inną drogą, kierując się w stronę, gdzie według zapewnienia Kanadyjczyka mieliśmy niezadługo napotkać las cienisty i zdroj wybornej wody. Ta nadzieja nowych nam sił dodaje, zsiadamy z koni i postępujemy pieszo w towarzystwie miss Maryi, która gwarzy wesoło wsparta na ramieniu brata swego Edwarda. Cyryl uprzejmie rozmawia z młodą Irlandką, Kelly; przechodząc obok nich, zasłyszałem kilka słów z tej ożywionej rozmowy.

— Czy to prawda, proszę pana — pytała miss Kelly — że żaby są ulubioną potrawą Francuzów? My w Anglii nigdy tych obrzydliwych płazów nie jadamy.

— A któż to znów panience takie bajki mógł opowiadać? — mówi Cyryl oburzony — Francuzi jadają toż samo, co i inni ludzie, a żab w naszym kraju jest nawet bardzo nie wiele, to osobliwość, jeśli się takie brzydkie stworzenie znajdzie w jakim strumieniu.

Nie wiem, czy miss Kelly uwierzyła temu zapewnieniu; Cyryl, widząc uśmiech na moich ustach, mrugnął na mnie na znak porozumienia i z niewinną miną zapytał:

— Wszak prawda, panie, że u nas we Francyi żab niema wcale, któżby je tam jadał.

Nie chcąc zaprzeczać, ani z prawdą się rozmiąć, udałem, że nie dosłyszał pytania i zbliżyłem się do miss Maryi i jej brata.

— O, mój Edwardzie — mówiła młoda Angielka — jakżebym rada ptakiem dolecieć do niego; bo on żyje, nieprawdaż? miłość nasza musi mu teraz wynagrodzić to wszystko, co wycierpiał.

— W Bogu nadzieja, droga Maryo, że go zastaniemy przy życiu. Biedny, kochany ojciec! o, czemuż wcześniej nie wezwał nas do siebie, abyśmy mu osłodziли ciężkie troski, pocieszali go w nieszczęściu!

Pocziwe dzieci; oby Opatrzność czuwała nad niemi i pomyślnym skutkiem uwieńczyła zacne ich przedsięwzięcie, a nieszczęśliwemu wygnańcowi nie odmawiała pociechy oglądania ich przed śmiercią.

— Stój! — odezwał się w tej chwili donośny głos woźnicy, powożącego na najpierwszym wozie. I znowu cała karawana zatrzymała się nagle.

— Nie możemy jechać dalej! — woła ten sam głos tubalny naszego Kanadyjczyka — W poprzek drogi jest jama ogromna, ma najmniej sto stóp głębokości.

Struchleliśmy wszyscy na te słowa. Ja pierwszy opamiętałem się z gwałtownego wzruszenia i pośpieszyłem obejrzeć przepaść, która nam tak niespodzianie drogę zatamowała. Ta straszna szczyrba powstała niezawodnie w skutek trzęsienia ziemi. Wszędzie tu widać ślady nawałnicy, musiała w tém miejscu szaleć najwścieklej; powierzchnia głazów poorana jest bruzdami, a w wielu miejscach pioruny stopiły skałę i szkliste smugi zostały po sobie.

Położenie nasze jest okropne, przed chwilą wypiliśmy już resztę wody, chociaż od dwóch dni wydzielano ją bardzo skąpo i ludziom i koniom. Biedne te zwierzęta są widocznie bardzo spragnione, wietrzą na wszystkie strony, roztwierając nozdrza, niecierpliwie uderzają kopytami o twardą skałę. Wielbłądy mogłyby znieść ten brak wody, ale konie zginą niezawodnie i to niezadługo, a wtenczas będziemy zgubieni.

Co począć, co przedsięwziąć? Gromadka nasza jest liczna, wszyscyśmy zdrowi i silni, odwaga nas nie opuszcza, kobiety nawet nie tracą energii w tak ciężkiej chwili; nie pierwszy to raz przecież spotykamy się oko w oko z niebezpieczeństwem, jak-koś i teraz sobie poradzimy. Nasz Kanadyjczyk jest człowiekiem pomyslowym, podaje projekt, ażebyśmy się wdrapali na jedną ze skał pobocznych, dostali się na drugą stronę i spróbowali zrobić pod nią podkop, a kto wie, czy nam się nie uda strącić ją w przepaść i przejechać potem jak po moście. Wszyscy się na to zgadzamy jednogłośnie, Kanadyjczyk pierwszy wspina się na wierzchołek wyniosłej skały, ale zaledwie się tam dostał, pochylił się szybko, potem spuścił się napowrót, wołając:

— Dzicy! dzicy!

W téjże samej chwili z pięćdziesiąt włócznie ukazało się ponad wierzchołkiem skały i zgraja dzikich Australczyków z okrzykiem złowieszczym cisnęła je wszystkie na nas; na szczęście jednak broń niezbyt celnie rzucona żadnej nam szkody nie wyrządziła. To zapewne toż samo plemię, któreśmy gościnnie podejmowali niedawno, dziś zapominając o wszystkiém, tak czarną nam się wypłaca niewdzięcznością. Szpiegowali nas może i wiedzą o naszym rozpaczliwém położeniu, a ponieważ nam braknie zapasów żywności, więc z nas samych zamysłają sobie ucztę urządzić. Oburzenie moje nie zna już granic, chwytam strzelbę dwururkę, paf! paf! dwóch dzikich pada z wrzaskiem przeraźliwym. Słyszę żalony okrzyk miss Maryi, dobre dziewczę lituje się nad nimi,

ale trudnoż wymagać, ażebyśmy dobrowolnie poszli na rozeń dla zaspokojenia żarłocstwa tych nędzników.

Nie ma czasu do stracenia, musimy się dostać na tamtą stronę skały i wykonać plan obmyślony przez Kanadyjczyka. Inaczej zginiemy z głodu i pragnienia w tej zasadzce. A więc do dzieła, tylko śmiało, a wszystko dobrze pójdzie. Rozdzielmy się na dwa oddziały, jedni z motyką w rękę pracować będą nad podkopaniem skały, drudzy z bronią na ramieniu czuwać nad ich bezpieczeństwem. Wyobrażamy sobie, że jesteśmy na wojnie, gdzie nieraz saperzy przepokopy muszą wykonywać pod gradem pocisków. Czarni nasi nieprzyjaciele nie mają wprawdzie armat i karabinów, ale i bumerangi nie żartują.

Robota rozpoczyna się niezwłocznie; oddział naszych saperów, złożony z najdzielniejszych domowników sir Reeda, pracuje ze spokojem i krwią zimną, jak na rodowitych Anglików przystoi. My wszyscy osłaniamy ich od napaści dzikich krajowców, którzy są widocznie zdumieni naszym zuchwałstwem, gdyż stoją beczynnie opodal, spoglądając na nas z wyrazem zwierzęcej i drapieżnej jakiejś pożądlivosti. Cóż to za szpetne istoty! niepodobna patrzeć na nich bez wstrętu i trudno uwierzyć, że to są jednak nasi bliźni.

Nie ma już żadnej wątpliwości, to ciż sami, których tak niedawno widzieliśmy w inném zupełnie usposobieniu; nędznicy zdawali się nam sprzyjać, napasłszy się naszym jądłem! Jeden ma właśnie na głowie czerwoną czapeczkę, którą dostał w podarunku od jednego z naszych towarzyszy, w zamian za swój bumerang; na innych poznajemy nasze chustki i kawałki tkanin, ofiarowanych wspaniało-myślnie przez młodą Angielkę. Stoją niedaleko, niemiła woń kozia dochodzi aż do nas; człowiek ustrojony w czapkę czerwoną, zapewne dowódzca, daje jakieś znaki towarzyszom, może uderzą na nas niezadługo.

Słyszymy wściekły okrzyk, to zapewne hasło wojenne; bumerang wypadł ze świstem, zabiłby niezawodnie na miejscu dzielnego Kanadyjczyka, gdyby był nie odskoczył zręcznie w bok; ale poczekajcie, wy zwierzęta dwunożne, teraz my z wami się rozprawimy. Sześć strażów pada na raz, pół tuzina czarnych napastników powaliło się na piasek, reszta ucieka w popłochu. Teraz nasi robotnicy gorliwie zabierają się do pracy, jest ich dzie sięciu, podkop postępuje szybko, ziemia miękka, piaszczysta, daje się odgartywać z łatwością. Ale nieprzyjaciele nasi nie zasypiają sprawy, musimy ich ciągle mieć na oku, a jak tylko czarna głowa wyjrzy z za głazu, natychmiast kulka leci w tę stronę i powstrzymuje śmiałków.

Upał jest do niezniesienia, pot kroplisty spływa z czoła naszych saperów, a my nie możemy dotknąć żelaznych części strzelb naszych, bo nam palą ręce i żwir pod stopami naszymi jest do tego stopnia rozgrzany, że doznajemy takiego uczucia, jak gdy byśmy stąpali po rozpalonych węglach. Gorąco przechodzi przez grubą pedeszwę naszego obuwia. Nie możemy jednak odpoczywać, czas nagli, a zgraja dzikich czyha w ukryciu. Musimy się ztąd wydostać przed nocą, jest już trzecia po południu. Gdybyż choć kropla wody do odwilżenia ust spieczonych, ale na tém pustkowi niema nic, oprócz głazów.

Jeszcze chwil kilka, nie ustawajcie, dzielni pracownicy, podkop już ukończony, a teraz wspólnymi siłami musimy ten głaz olbrzymi poruszyć z miejsca. Chwytny wielkie żelazne drągi, wyteżamy siły zdwojone rozpaczą... niestety! olbrzymia skała poruszyć się nie daje! Zdyszani, wycieńczeni, z zakrwawionymi rękoma, ze zbolałymi członkami, musimy odstąpić i uznać niemoc naszą. Więc tyle trudów, tyle wysień, pójdzie na marne? Nie, nigdy! nie upadniemy na duchu, a jeśli ręce nasze są za słabe, użyjemy innego środka.

Mamy na wozie baryłkę prochu, ustawimy ją u stóp skały, taka potężna mina wysadzi ją niezawodnie z posad. Przytwierdzamy do niej lont krótki, nie potrwa dłużej nad pięć minut. A teraz wszyscy oddalamy się śpiesznie, porucznik Robarts ma lont zapalić. Serca nasze ściskają się niewymowną trwogą i nadzieją. Los nasz rostrzygnie się za chwilę.

Ogłuszający wybuch wstrząsnął ziemię dokoła, gęsty obłok dymu wznosił się do góry, jakby z rozwartej paszczy krateru, z bijącym sercem zbliżamy się do podkopu... wiwat! skała stoczyła się w dół, droga otwarta z tej strony, jesteśmy uratowani! Proch strzelniczy jest jednak pięknym wynalazkiem, oby tylko w tak dobroczynnych celach był zawsze używany!

Wyruszamy nakoniec, wozy postępują zwolna, my wszyscy otaczamy je z bronią nabitą, co chwila spodziewać się możemy nowego napadu dzikich, musimy się mieć na ostrożności. Konie, pomimo straszego znużenia, zaczynają przyśpieszać kroku; one instynktem zapewne czują już z daleka, że zmierzamy w stronę lasu. Nozdrza ich wietrzą już może upragnioną woń trawy i wzywy strumienia. Pieski moje także strzygą uszami i raziściej bieżą, zaglądając mi w oczy, na znak porozumienia.

O Boże! dzięki ci! Wszak to las zieleni się przed nami, wydostaliśmy się nareszcie z tej strasznej kamienistej puszczy. Z jakąż rozkoszą stąpaliśmy po miękkim kobiercu trawy! Wspaniałe

drzewa stoją w ścięzionych szeregach, niektóre z nich mają nawet piękne, szerokie liście, spoczniemy w cieniu, a oto strumyk srebrze wśród zielonych krzaków. Cóż to za cudne ustronie! Na domiar szczęścia nigdzie tu nie widać śladów naszych czarnych prześladowców. Ostrożność jednak nie zawadzi, nie przestajemy więc bacznie oglądać się na wszystkie strony.

Zbliżamy się najpierw do źródła; jest to niewielki zbiorek wody świeżej, przejrzystej, jak łąza. Na dnie widać wszystkie kamyczki, muszelki, brzegi zarośnięte są bujną zielenią i mnóstwem jaskrawych kwiatów. Kto nigdy nie doznał takich męczarni pragnienia, ten nie potrafi pojąć rozkoszy, z jaką każdy z nas zbliża się do tej pożądanej wody. A jednak rozsądek każe się powstrzymać, niejednen podróżnik życiem przypłacił zbyt śpieszne i nieostrożne zaspokojenie pragnienia. Ja sam przed kilku laty w Indyach nabawiłem się ciężkiej choroby po wypiciu kilku szklanek zimnej wody w czasie wielkiego upału. Od tej pory stałem się bardzo wstrzemięźliwym i teraz ostrożnie zabierałem się do wysączenia wody z podróznjej mojej szklanki, jak gdyby to była lampeczka starego wina. Stary Tom zahartowany na pragnienie, nie śpieszy wcale do źródła, porządkuje na wozach i opatruje konie.

Dopiero pierwszą kropelkę przelknąć miałem, chociaż wszyscy nasi towarzysze napili się już do syta i napiili rumaki, gdy wtém okrzyk przygluszonej, jęk raczej, obija się o moje uszy. Obracam się, szklanka wypada z rąk moich na murawę, to miss Marya padła na ziemię, blada, drżąca, błędnymi oczyma wodzi dokoła i zmienionym, ochrypłym głosem wzywa ratunku. Nie dość na tém: major Crowley, porucznik Robarts, wołają także, jakby w przystępie dzikiego szału. Biegają po lesie, uderzają się o drzewa, na twarzach ich maluje się przestrach i straszne cierpienie. Wznoszą ręce do góry, to znów zakrywają oczy, jakby nie mogli znieść widoku światła. Zbliżam się najpierw do miss Maryi.

— Co pani jest? — pytam z trwogą najwyższą.

— Nie wiem sama; cierpię straszliwie, a co gorsza, czuję, że mię przytomność opuszcza. Jakis niepojęty obłęd mię opanował. Tu, tu, w pierśiach tak pali, jak ogniem, oczy mię bołą, nie mogę patrzeć... Stryju! Dicku, Edwardzie! ratujcie mnie, bo zginę!

Ale starzec i dwaj młodzieńcy nie rozumieją nawet, oni także dotknięci są tym samym szałem okropnym i niezrozumiałe tylko bełkocą wyrazy. I reszta naszej gromadki uległa temuż samemu losowi, to istny dom waryatów! Ja jeden pomiędzy nimi zachowałem przytomność, ale zapytuję

sam siebie, czy nie jestem pod wpływem jakiegoś straszego snu, lub gorączkowego widzenia.

Co im się stało? co im się stać mogło? Nawet i konie zaczynają rżnąć niespokojnie, zrywają się z więzów i uganiają jak szalone po lesie. Psy pienią się i wyją, jakby w napadzie wściekłości. Cóż to za widok okropny! Porucznik Robarts zachwiał się na nogach i padł jak kłoda na murawę. Biegnę na ratunek nieszczęśliwego młodzieńca; tymczasem Cyryl woła mię rozdzierającym głosem:

— Panie, ratuj! ogień mi pali wnętrzości, nie widzę świata bożego, umieram!

— Ach panie! nie opuszczaj mię! — odzywa się miss Marya.

Nie mogę się rozerwać na wszystkie strony, Tom jeden nie stracił przytomności i żadnych cierpień nie doznaje, biega od jednego do drugiego i niezrozumiale jakieś wyrazy mruczy pod nosem.

Przystępuję do miss Maryi, która padła na murawę z zaciśniętymi wargami i zamkniętymi oczyma, podnoszę jej powieki, spoglądam w oczy... i odskakuję przerażony. Żrenica nadzwyczajnie rozszerzona wyjaśnia mi tę niepojętą zagadkę. Biegnę do Cyryla, do innych, wszędzie toż samo, teraz już niema wątpliwości, oni są wszyscy potruceni! Ten szal gwałtowny, konwulsyjne ruchy, ból wnętrzości, a szczególnie to charakterystyczne rozszerzenie źrenicy wskazuje mi aż nadto wyraźnie rodzaj trucizny. Jedna jest tylko roślinna rodzina, która podobne wywołuje skutki, rodzina psianek, *solanaceae*. Nieszczęśliwi! Zginą w straszliwych męczarniach, nie znam żadnych środków ratunku.

Ale coż to znaczy, że my dwaj tylko z Tomem wolni jesteśmy od otrucia? Jakim sposobem towarzysze nasi przelknęli bezwiednie jad, który im pali wnętrzości? Widzę tu naokoło źródła wielkie krzaki; znam te liście posępne, co tak złowrogo wyglądają. Tak, to niezawodnie jakiś gatunek z rodziny psiankowatych, bo jadowite te rośliny przebywają we wszystkich częściach świata, w sferach umiarkowanych, zarówno jak i w zwrotnikowych. Ale nikt przecież, o ile wiem, tych roślin nie zrywał, wszyscy rozkoszowali się tylko wodą ze źródła.

— Tomie — rzekłem do Australczyka — widzisz te krzaki? to one niezawodnie są przyczyną tego nieszczęścia. Ale wszakże nikt ich owocu nie zrywał, nikt nie dotykał?

— Nie, nie! — potwierdza Tom, pokręcając głową. Wtém nagle uderza się w czoło, wołając w niebogłosy:

— Wiem, wiem! wszystko wiem!

Sądziłem zrazu, że i jego ten sam szal opanował, gdyż porwał się, jakby nieprzytomny i jednym susem wskoczył do wody, w której się z głową zanu-

rzył. Nie upłynęło i pół minuty, gdy czarny łeb jego ukazał się znowu nad powierzchnią, potem wydobyl ręce, w których spostrzegłem wielki pęk jakiegoś zielska.

— Patrz pan, patrz! — woła, rzucając mi je pod nogi i wyskakując z wody — to oni, łotry, hultaje! to oni to zrobili!

Teraz zrozumiałem wszystko! Dzicy ludzie, nie mogąc nas pokonać siłą, użyli zwykłego swego podstępny i zatruli nam wodę. Tom porwał długi kij i grzebiąc na dnie źródła wydobyl zeń całe snopy ziół psiankowatych, które tam spoczywały przyłożone ciężkimi kamykami. Niegodziwa zgraja chciała nas wszystkich wytruć, ażeby zrabować bezkarnie nasze wozy. Liczyli na to, że jeżeli nie zginiemy odrazu, to przynajmniej siły nas opuszczają i nie zdołamy się bronić.

Niema czasu do stracenia, niezadługo noc zapadnie, dzicy czekają zapewne ciemności, ażeby napaść na nas i bezbronych pokonać. Musimy się przygotować na ich przyjęcie. Biedni chorzy są ciągle w okropnym stanie; błagają o wodę głosem rozdzierającym, musimy z Tomem używać siły, aby ich nie dopuścić do zatrutego źródła. Niepodobna ich zostawić samych, bez żadnej opieki, a jednak trzeba by pójść poszukać innego źródła, tu w tym pięknym lesie musi być obfitość wody. Tom musiał myśli moje odgadnąć.

— Ja im dam pić — rzekł, spoglądając na mnie ze szczególnym wykrzywieniem ust, które u niego zastępuje uśmiech. — Przyniosę im dobrej wody z drzewa.

Wody z drzewa? sądziłem, że stary ze mnie żartuje, a tu wcale nie pora była do żartów.

— Tom dobrze mówi — odezwał się Kanadyjczyk, który był już trochę oprzytomniał — widzę ztąd te poczciwe drzewa, z których nieraz już, zabląkawszy się w puszczy, piłem najwyborniejszą wodę.

Mówiąc to, wskazywał niskie, cierniste drzewka, o liściach wązkich do mirtowych podobnych. Jestem dość biegły w botanice i z tych liści, zarówno jak z kwiatów białych, zwieszających się z gałązek, poznałem, że to jest jakiś karłowaty gatunek rozdrębów, czyli eukaliptów. Wiedziałem, że drzewa te rosną w Australii w rozlicznych gatunkach, jedne dochodzą rozmiarów olbrzymich, zaliczone są do największych drzew na świecie, inne wyglądają prawie jak krzewy. O dobroczynnych ich własnościach naczytałem się także nieraz i przypomniałem sobie w tej chwili, jaką sławę ma pomiędzy osadnikami rozdręb ciernisty, *Eucalyptus dumosa*. Z wielkiem zajęciem śledziłem wszystkie poruszenia Toma, który zbliżył się do jednego z tych drzewek z motyką i no-

żem w rękę, a niósł także i niewielkie wiaderko blaszane. Australczyk przykucnął na ziemi i zaczął grzebać motyką naokoło korzenia, a gdy go odkrył nieco, spostrzegłem mnóstwo cienkich pędów wychodzących z niego na wszystkie strony. Tom rozcinał je nożem, a natychmiast z każdego z tych korzonków tryskał źródło czystej wody. Niektórzy z naszych chorych sami dowlekli się do drzewa i wysączali chciwie z rozciętych pędów napój orzeźwiający. Ja także teraz dopiero ugasiłem pragnienie z tego roślinnego źródła i mogę zaświadczyć, że woda była wyborna, musiała też mieć w sobie i lecznicze własności, bo wielką ulgę przyniosła biednym naszym chorym.

Jednak do zupełnego wyzdrowienia jeszcze daleko. Wszyscy są przytomni, gorączkowe widzenia ustały, za to senność ich ogarnęła nieprzewyciężona, a przytęm wielkie osłabienie. Zdaje się, że niebezpieczeństwo minęło, zapewne jednak kilka dni przejdzie, nim odzyskają siły, a tu co chwila można się spodziewać napadu dzikich. My we dwóch z Tomem nie zdołamy się tej zgrai obronić. Gdy tak łamię sobie głowę, szukając środków ratunku, wzrok mój pada przypadkiem na jeden z tych pęków ziół trujących, które Tom wyciągnął z dna źródła. Spostrzegam giętką, długą łodygę, którą ten snopek jest związany, a na niej w pewnych odstępach owoc strąkowy do fasoli podobny. Jest to widocznie jakaś pnąca się roślina, której łodyga użyta była przez dzikich w miejscu sznura do związania jadowitych ziół.

O Boże! cóż to za odkrycie! nie, ja się nie mylę, to jest sławny bób kalabarski, *Physostigma venenosum*, z rodziny strąkowych. Roślina ta obficie rośnie w Afryce, zwłaszcza w Kalabarze; a roślinność australską bardzo jest zbliżona do afrykańskiej. Bób kalabarski jest najlepszą odtrutką psiankowatych trucizn. Przypominam sobie, byłem świadkiem ciekawych bardzo doświadczeń w jednym z paryskich szpitali. Profesor zapuszczał w oko kropelkę atropiny, tak się nazywa substancja otrzymana z jadowitej rośliny psiankowatej, wilczej jagody, *Atropa balladonna*, w klasyfikacji naukowej. Żrenica natychmiast znacznie się rozszerzała. Profesor brał następnie inną substancję, ezerynę, wydobytą z bobu kalabarskiego, i puszczał kropelkę u rozszerzoną żrenicę, która w jednej chwili wracała do zwyczajnego stanu.

A jednak bób kalabarski jest także gwałtowną trucizną; widać, że przysłowie: klin klinem wybić, może być i do sztuki lekarskiej zastosowane. Muszę ratować nieszczęśliwych towarzyszy, nie jest że to widoczne zrzędzenie Oparrności, że ta odtrutka w tej chwili właśnie wpadła mi do ręki? Czarni rabusie nie spodziewali się, wiążąc trujące

ziół temi giętkimi łodygami, że nam taką wyznaczają przysługę. Oglądam się i widzę też samą roślinę owijającą się wdzięcznie na pniach drzewnych, wielkie strąki dojrzałe zwieszają się z giętkich łodyg. Nie zabraknie mi lekarstwa, byle tylko skutek uwieńczył usiłowania moje.

Tom dzielnie mi dopomaga, w chwil kilka uzbieraliśmy spory zapas ziarn i pognieliliśmy je w móżdżerzu, dodając trochę wody z korzeni rozdrębu. Zapomniałem powiedzieć, że Tom pozalepił starannie gliną ponacinane korzenie, bo inaczej drzewo mogłoby uschnąć.

Wyznaję, że z pewną obawą podałem najpierw Kanadyjczykowi łyżkę świeżo przyrządzonej mikstury. Silny jego organizm zniesie najłatwiej ten energiczny środek. Skrzywił się strasznie, przełykając lekarstwo, nie musi być zbyt smaczne. Mija pięć minut niewysłowionej trwogi... O Boże, dzięki ci! odtrutka widocznie poskutkowała, olbrzym zaczyna swobodnie oddechać, wstaje, przechadza się, mówi do mnie z zupełną przytomnością i upewnia, że czuje wielką ulgę.

(D. c. n.).

S Z A R A D A (Rózia).

Pierwszy odwrotnie — owadów chatka,
W niej praca, słodycz i rządna matka,
Pod jej zarządem dziatwa się trudzi,

Dla dobra ludzi.

Druga i trzecia; rodzaj metali;
Biała, ciągnista, a śród płomienia
W płyn się roztapia, gdy się rozpali,
Zmieszana z miedzią w bronz się zamienia;
Oto dwa słowa z mego imienia.

Łamigłówa zgłoskowa.

Z następujących zgłosek: ba-be-ca-cie dy-e-go-gipt-iż-i-in-ka-mi-no-pet-trop-trzew-wał-wi-bior-zam-zan-zy.

Ułożyć 10 wyrazów:

1) Nazwa dziwaka 2) Królowa starożytna 3) Ptak leśny 4) Potrawa z ryby 5) Farba 6) Kraj w Afryce 7) Okrzyk radosny 8) Mieszkanie 9) Nazwa dynastii we Francji 10) Rzeka w Afryce. Początkowe litery z góry na dół utworzą nazwisko sławnego polskiego poety, końcowe zaś w tym samym kierunku, jego utwór.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 5-go.

Niteczki Aryadny:

Rojno, tłumno, jak nabito,
 Wszystko w targu, wszystko w swarze,
 Pieszko wozem i karetą,
 Pełno ludu na bazarze:
 Huczają kramy, stajnie, domy,
 Pogwar w każdym zakamarku,
 Słowa niesie wiatr bez komy,
 Sens zawył na jarmarku.
 (z Jarmarku J. N. Kamińskiego.)

Homonomów.

Para koni — para wodna.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Maryni B. w Jabłonowie. Z przyjemnością odczytaliśmy trafne rozwiązanie łamigłówek, tak piękną i staranną kaligrafią napisane. Miasto warowne Kars należy do Rosyi. Mika, czyli łyszczak, jest to mineral, który się daje dzielić na cieniutkie listki. Nakoniec skirem lub rakiem nazywa się ciężka bardzo choroba.

Władysiowi L. Łamigłówka zupełnie podobna do nadesłanej była już zamieszczona w Wieczorach Rodzinnych, ale i tę troszkę później zamieścimy.

Kaziowi K. przy ulicy Siennj. Łamigłówki, z wyjątkiem niektórych, gdzie są drobne omyłki, zamieścimy. Ale prosimy o liścik dłuższy, w którymbyśmy znaleźli cośkolwiek, oprócz łamigłówek.

Wandzi S. Komedycja będzie w jednym z następnych N-rów Pisma, mamy już kilka w pogotowiu. Radziłyśmy wszystkim dogodzić, ale gdy jedni proszą, żeby w niej same dziewczynki występowały, drudzy znów chcą samych chłopczyków. W tym roku będą w naszych Wieczorach różne komedjki i każdy wybierze stosowną dla siebie.

Rózi D. w Berdyczowie. Zadziwił nas liścik tak ceremonialny od stałej i miłej korespondentki, a zarazem i współpracownicy w dziale łamigłówek. Największą to jest przyjemnością dla nas, gdy możemy czytelnikom naszym kochanym czémkolwiek usłużyć, choćby tylko rozstrzygnięciem drobnych kwestyj naukowych lub językowych. Każde nazwisko polskie bezwarunkowo powinno się odmieniać w rodzaju żeńskim. Nikt naprzykład królowej Barbary nie nazwie Barbarą Radziwiłł, tylko Radziwiłłówną, czemużby toż samo правило nie miało być zastosowane do innych nazwisk?

Bolesiówi D. w Toporzyszczewie. Żądany Nr. Pisma odesłaliśmy niezwłocznie. Prosimy wszystkich prenumeratów,

aby jaknajwcześniej nas zawiadniali, ile razy pisemka nie odbiorą, ażebyśmy mogli temu zaradzić. My je zawsze porządnie wysyłamy, nieakuratność jest winą poczty.

Anulce J. w Niszowcach. Rozwiązanie zagadki historycznej wybornie jest napisane, ale nadeszło za późno, gdyż nagroda już przysądzoną została. Niezadługo zamieścimy drugą, a tymczasem z utęsknieniem czekamy liściku obszerniejszego z wiadomością, jak się podobały *Wieczory* w nowej sukience.

Stefanowi A. w Piotrkowie. Łamigłówki porządnie ułożone będą drukowane niezadługo.

Od Sobiesława, Stasi i Jani M. Otrzymałiśmy na pomnik Mickiewicza rs. 6.

Gabryni St. Cieszymy się, że rozpoczęte powieści zajmują kochanych naszych czytelników. Rs. 1 kop. 60 oddaliśmy na pomnik Mickiewicza, a Mani, Adasiowi, Jurkowi, Walerci, i Władzi dziękujemy, że te pieniądze za naszym pośrednictwem na tak piękny cel przesłali.

Lucynie D. w Szakach. Zagadki chętnie wydrukujemy, jeśli będą ułożone podług prawideł i tak porządnie napisane, jak liścik. Serdecznie dziękujemy w imieniu ubogiej panićki z Chęcina za przesłanego dla niej rubla. Mamy nadzieję, że ten pierwszy liścik nie będzie ostatnim.

Od Anusi M. Do puszki szpitala Dziecinnego włożono 40 kop. a nie 20, jak przez omyłkę wydrukowano w N-rze 2-gim, dziękujemy za sprostowanie.

Panu M. K. R. w Bohdaniszczach na Litwie. Chociaż kupienie maszyny było głównym celem składek dla ubogiej panićki z Chęcina, jednak i dalsze ofiary przesłano jej na inne potrzeby. Serdecznie dziękujemy dobrem dziewczątkom, Kotuni, Elizee i Helence, za rs. 4 które dla niej przeznaczyły.

Helence F. w Pyzdrach. Rozwiązanie zagadki historycznej dobrze jest i starannie napisane, żalowaliśmy bardzo, że się spóźniło i nie mogliśmy o niem wspomnieć w właściwem miejscu. Pięknie to bardzo, że pobyt w obcym kraju nie zmniejszył zamiłowania do rzeczy swojskich i historii własnego narodu, która jest dla nas ważniejszą od wszelkich innych nauk i wiadomości. Wkrótce rozpoczniemy powieść historyczną, pragniemy bowiem o ile można łączyć z pożytkiem przyjemność.

Kasi i Rózi D. Bardzo dobre rozwiązanie zagadki historycznej, zasługujące na wzmiankę, nadeszło zapóźno. Ale nic niema straconego, bo druga zagadka podobna prędko będzie w Pisemku naszym drukowana. Nie wszyscy mogą nagrodę otrzymać, a porządne napisanie zozwiązania zawsze jest pożyteczne.

Karolince S w Warszawie. Najpierw zwracamy uwagę kochanej korespondentki, że niewłaściwie adresuje liściki do *redaktora* ponieważ *Wieczory Rodzinne* wychodzą pod kierunkiem kobiety. Prosimy więc, aby następny liścik pisany był do *redaktorki*. Zagadka jest dobrze ułożona, ale wolelibyśmy inne nazwisko. Jest w niej także drobna omyłka, nie pisze się koliber tylko kolibr, l. mn. kolibry. Nie należy się jednak zrażać i dalej sił próbować, bo i do tego trzeba troszkę wprawy.

Maryni B w Święcicach. Rozwiązanie zagadki historycznej bardzo dobrze napisane, ale... nagroda już przysądzona. Tyle czasu zostawiamy naszym kochanym czytelnikom, a zawsze jeszcze się opóźniają. Zresztą może to list się opóźnił, bośmy w nim daty nie znaleźli. Żądany N-r. 3 zesłoroczny wysłaliśmy pod opaską.

Panu A. Gr. w Ludwikówce. Drugi tonik Historji wysłany był zaraz po wyjściu z druku, zapewne na poczcie zaginął. Wysłaliśmy drugi egzemplarz.